

The book cover features a teal background with several white line-art birds in flight. One bird in the center is filled with a yellow color. The text is centered and arranged in a vertical stack.

RZADKI PRZYKŁAD POWIEŚCI, KTÓRA ŁAMIE SERCE,  
A PÓŹNIEJ SKLEJA JE NA NOWO, A PODCZAS LEKTURY  
ZMIENIA CZYTELNIKA NA LEPSZE.  
TO KSIĄŻKA O DROBNEJ, ALE ZNACZĄCEJ RÓŻNICY  
MIĘDZY UTRZYMYWANIEM SIĘ PRZY ŻYCIU  
A CIESZENIEM SIĘ NIM W PEŁNI.

JODI PICOULT

ANN  
NAPOLITANO  
DROGI  
EDWARDZIE

MARGINESY

*Dear Edward*

COPYRIGHT © 2020 BY Ann Napolitano

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Borówka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

*Danowi Wilde'owi, za wszystko*

# 1.

---

Skoro wiadomo, że umrzemy, ale nie wiadomo kiedy, to co jest w życiu najważniejsze?

PEMA CHÖDRÖN

12 czerwca 2013

7.45

Po niedawnym remoncie lotnisko Newark aż błyszczący. Przy każdym zakręcie kolejki do kontroli bezpieczeństwa stoi kwiatek doniczkowy, żeby podróżni nie domyślali się, jak długo będą musieli czekać. Ludzie podpierają ściany albo siedzą na walizkach. Wszyscy zbudzili się przed świtem i wydymają teraz wargi w głośnych wydechach; uchodzi z nich znużenie.

Na przedzie rodzina Adlerów wypakowuje do kuwet komputery i buty. Bruce Adler ściąga pasek, zwija go i pedantycznie układa w plastikowym szarym pojemniku obok swoich brązowych mokasyń. Jego synowie nie są tak porządni: wrzucają swoje adidasy na laptopy i portfele. Z ich wspólnej kuwety wystają sznurowadła i Bruce nie może się powstrzymać przed wetknięciem do pojemnika obluzowanych końcówek.

Wisząca obok pokaźna tablica obwieszcza: „Portfele, klucze, telefony, biżuterię, urządzenia elektroniczne, komputery, tablety, metalowe przedmioty, obuwie, paski oraz żywność należy umieścić w pojemniku. Napoje i przedmioty niedozwolone należy wyrzucić”.

Przed kabiną skanera Bruce i Jane Adlerowie otaczają swojego dwunastoletniego syna Eddiego, a ich drugi syn, piętnastoletni Jordan, zostaje w tyle i czeka, aż rodzina przejdzie na drugą stronę.

– Nie wyrażam zgody – oznajmia Jordan funkcjonariuszowi obsługującemu skaner.

Pracownik patrzy na niego spode łba.

– Co powiedziałeś?

Chłopak wkłada ręce do kieszeni i mówi:

– Nie wyrażam zgody na skanowanie.

– Osobista, mężczyzna! – krzyczy funkcjonariusz, nie bardzo wiadomo do kogo.

– Jordan – odzywa się jego ojciec z odległego końca przejścia. – Co ty wyprawiasz?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Robią rentgen całego ciała, tato. To najniebezpieczniejsze i najmniej skuteczne urządzenie skanujące na rynku. Czytałem o nim i nie przechodzę.

Bruce, który stoi kilka dobrych metrów dalej i wie, że nie przepuszczą go z powrotem przez kabinę, milknie. Teraz chce tylko, żeby i Jordan już się nie odzywał.

– Przejdź na bok, młody – mówi funkcjonariusz. – Tamujesz ruch. – Chłopak posłusznie się odsuwa, a pracownik dodaje: – Wierz mi, o wiele łatwiej i przyjemniej przejść przez to urządzenie niż czekać, aż ten tam facet cię obszuka. A obszukujemy starannie, chyba wiesz, o co chodzi.

Jordan odgarnia włosy z czoła. W ostatnim roku podrósł z piętnaście centymetrów i jest teraz chudy jak szczapa. Podobnie jak matka i brat ma kręcone włosy, które rosną tak szybko, że nie sposób ich okiełznać. Jego ojciec ma włosy krótkie i siwe. Siwiżna pojawiła się, gdy Bruce miał dwadzieścia siedem lat, w roku

narodzin Jordana. Bruce wskazuje czasem na swoją głowę i mówi do syna: „Patrz, co mi zrobiłeś”. Chłopak ma świadomość, że ojciec obserwuje go teraz bacznie, jakby chciał go zarazić na odległość zdrowym rozsądkiem.

– Nie przejdę przez to z czterech powodów. Chce pan wiedzieć jakich?

Funkcjonariusz sprawia wrażenie rozbawionego. Nie tylko on skupia teraz uwagę na chłopcu – wokół nasłuchują pasażerowie.

– O Jezu – mamrocze Bruce.

Eddie Adler wsuwa dłoń w dłoń matki, pierwszy raz od co najmniej roku. Gdy patrzył, jak rodzice pakują się przed tą przeprowadzką z Nowego Jorku do Los Angeles – „wielkim wstrząsem”, jak to ujął ojciec – dostał rozstroju żołądka. Teraz czuje, jak mu się przewracają kiszki, i zastanawia się, czy jest gdzieś w pobliżu toaleta.

– Trzeba było z nim zostać – mówi.

– Poradzi sobie – zapewnia Jane, również siebie.

Jej mąż wbija spojrzenie w Jordana, ale ona nie może na to patrzeć. Skupia uwagę na przyjemnym doznaniu, jakim jest dotykanie dłoni własnego dziecka. Brakowało jej tego. Rozwiązałybyśmy tyle spraw, myśli, gdybyśmy tylko częściej trzymali się za ręce.

Funkcjonariusz wypina pierś.

– Dawaj, bracie.

Jordan wystawia palce, gotów do odliczania.

– Po pierwsze, staram się unikać promieniowania. Po drugie, nie wierzę, że ta technologia zapobiega atakom terrorystycznym. Po trzecie, odstręcza mnie myśl, że rząd fotografuje moje jaja. I po czwarte... – bierze wdech – ...uważam, że poza, do której przymuszana jest prześwietlana osoba, z rękami do góry, jakby

ktoś ją napadał, ma wywołać u niej poczucie bezsilności i poniżenia.

Pracownik służby ochrony lotnisk już się nie uśmiecha. Nie jest pewien, czy ten chłopak nie robi z niego durnia.

W stojącym nieopodal wózku inwalidzkim siedzi Crispin Cox, który czeka, aż ochrona przejrzy jego wózek w poszukiwaniu materiałów wybuchowych. Na tę myśl aż się w nim gotuje. Szukać materiałów wybuchowych w wózku! Gdyby nie to, że zabrakło mu tchu, na pewno by odmówił. Za kogo ci idioci się mają? I za kogo mają jego? Czy nie wystarczy, że musi siedzieć na tym wózku i podróżować w towarzystwie pielęgniarki?

– Zróbcie już chłopakowi tę cholerną rewizję – warczy.

Ten starszy człowiek od dziesięcioleci stawia żądania i prawie nigdy nie spotyka się z odmową. Ton jego głosu przełamuje wahanie funkcjonariusza jak dłoń posiadacza czarnego pasa deseczkę. Kieruje Jordana do innego pracownika, który każe mu stanąć w rozkroku i wyciągnąć ręce na boki. Jego rodzina obserwuje z niepokojem, jak mężczyzna bez pardonu oklepuje go między nogami.

– Ile masz lat? – pyta funkcjonariusz, podciągając gumowe rękawiczki.

– Piętnaście.

Na jego twarzy pojawia się grymas.

– Dzieciarnia raczej tego nie robi.

– A kto robi?

– Przeważnie hipisi. – Namysła się chwilę. – Albo ludzie, którzy nimi kiedyś byli.

Jordan musi się zmuszać do stania bez ruchu. Funkcjonariusz obmacuje go w okolicach paska dżinsów i to łaskocze.

– Może jak dorosnę, zostanę hipisem.



– Skończyłem, piętnastko – odpowiada mężczyzna. – Zmykaj.

Jordan dołącza z uśmiechem do rodziny i odbiera buty od brata.

– Zbierajmy się – mówi. – Jeszcze nam samolot odleci.

– Później do tego wrócimy – zapowiada Bruce.

Chłopcy ruszają przodem. Przejście jest przeszklone i w oddali rysują się nowojorskie drapacze chmur – wzniesione ludzką ręką, przebijające niebieskie niebo masywy ze szkła i stali. Jane i Bruce mimowolnie szukają wzrokiem miejsca po bliźniaczych wieżach, tak jak język sam wędruje do dziury po wyrwanym zębie. Ich synowie, którzy w dniu upadku wieżowców byli maluchami, przyjmują panoramę miasta jako coś naturalnego.

– Eddie – odzywa się Jordan i chłopcy wymieniają spojrzenia.

Bracia umieją naturalnie czytać sobie w myślach – ich rodzice często odkrywają ze zdumieniem, że Jordan i Eddie przeprowadzili bez słowa całą rozmowę i doszli do wspólnego wniosku. Zawsze funkcjonowali jako jedność i wszystko robili razem. W ostatnim roku Jordan zaczął się jednak odsuwać. W jego ustach imię brata zawiera teraz przekaz: „Nadal tu jestem. Zawsze wrócę”.

Eddie wymierza bratu kuksańca w ramię i wybiega naprzód.

Jane stąpa jak po lodzie. W wypuszczonej przez młodszego syna dłoni czuje mrowienie.

Przy wyjściu znów oczekiwanie. W stronę drogerii idzie pospiesznie Linda Stollen, młoda kobieta w bieli. Dłonie ma spoczone, a serce kołacze jej w piersi, jakby chciało wyskoczyć. Samolot z Chicago przyleciał o północy i od tego czasu Linda próbowała drzemać na siedząco na ławce, z torebką przyciśniętą do piersi. Wykupiła możliwie najtańszy lot – stąd droga okrężna przez

Newark. Jadąc na lotnisko, powiadomiła ojca, że już nigdy więcej nie poprosi go o pieniądze. Ojciec zarechotał, a nawet klepnął się w kolano, jakby nigdy nie słyszał lepszego dowcipu. Ale ona nie żartowała. Dwie rzeczy wie na pewno: po pierwsze, nigdy nie wróci do Indiany, a po drugie, nigdy, przenigdy nie poprosi o nic ani ojca, ani jego trzeciej żony.

W ciągu ostatniej doby odwiedziła już drogerię. Sięga teraz do torebki i dotyka opakowania testu ciążowego, który kupiła w South Bend. Tym razem wybiera pismo plotkarskie, czekoladki oraz napój gazowany bez cukru i rusza z nimi do kasy.

Crispin Cox pochrapuje w wózku, a jego ciało – skóra i kości – przypomina figurkę origami. Palce podrygują mu od czasu do czasu jak podloty usiłujące oderwać się od ziemi. Jego opiekunka, kobieta w średnim wieku, o krzaczastych brwiach, piłuje sobie paznokcie na fotelu nieopodal.

Jane i Bruce siedzą obok siebie na niebieskich lotniskowych krzesłach i sprzeczą się, choć nikt postronny by tego nie podejrzewał. Mają nieporuszone twarze i nie podnoszą głosu. Ten styl kłótni rodzicielskich ich synowie nazywają „stanem podwyższonej gotowości bojowej” i nie budzi w nich niepokoju. Rodzice się ścierają, ale chodzi raczej o próbę porozumienia, a nie o walkę. Wyciągają do siebie ręce, zamiast zadawać nimi ciosy.

– To była niebezpieczna sytuacja – twierdzi Bruce.

Jane lekko kręci głową.

– Jordan to dziecko. Nic by mu nie zrobili. Egzekwował swoje prawa.

– Jesteś naiwna. Pyskował, a w tym kraju to się nie podoba, bez względu na to, co głosi konstytucja.

– Sam go nauczyłeś zabierania głosu.

Bruce zaciska wargi. Chętnie by podyskutował, ale nie może. Uczy chłopców w domu i w programie nauczania od zawsze

kładzie nacisk na umiejętność krytycznego myślenia. Przypomina sobie swoje ostatnie kazanie na temat wagi podawania w wątpliwość narzuconych reguł. „Kwestionujcie wszystko – podkreślał. – Wszystko”. Przez tygodnie prześladowała go głupota ważniaków z Columbii, którzy odmawiali mu etatu, ponieważ nie chodzi na ich suto zakrapiane przyjęcia. Zadał dziekanowi wydziału pytanie: „Co, do cholery, mają wspólnego z matematyką pijackie dysputy?”. Chciałby, żeby i jego synowie umieli się stawić ważniakom, ale jeszcze nie teraz. Trzeba było skorygować zalecenie: „Kwestionujcie wszystko, gdy dorośniecie, będziecie już w pełni władali swoimi uprawnieniami i nie będziecie z nami mieszkali, żebym nie musiał na to patrzeć i się zamartwiać”.

– Spójrz tylko na tę kobietę – mówi Jane. – Ma spódnicę obszytą dzwoneczkami. Wyobrażasz sobie nosić coś, co podzwania przy każdym twoim ruchu?

Kręci głową, z założenia szyderczo, ale wygląda to raczej na oznakę podziwu. Wyobraża sobie, jak to jest poruszać się wśród brzęku dzwoneczków. Z każdym krokiem rozsiewać wokół muzykę i przyciągać uwagę. Rumieni się na samą myśl. Ma na sobie dzinsy i sweter, który nazywa „pisarskim”. Ubierając się dziś rano, kierowała się wygodą. Czym kierowała się ta kobieta?

Strach i zakłopotanie, które elektryzowały ciało Bruce’a przy skanerze, zaczynają się rozpraszać. Pociera skronie i składa w duchu ateistyczno-judaistyczne dziękczynienie za to, że tym razem nie dostał bólu głowy, który powoduje, że pulsują mu wszystkie dwadzieścia dwie kości czaszki. Gdy lekarz zapytał, co wywołuje u niego te migreny, Bruce tylko prychnął. Odpowiedź jest taka jasna i oczywista: jego synowie. Ojcostwo to dla niego seria przerażających wstrząsów. Gdy chłopcy byli niemowlakami, Jane mawiała, że nosi je jak żywe niewybuchy. Z jego punktu widzenia tak właśnie było – i nadal jest. Na przeprowadzkę do

Los Angeles zgodził się przede wszystkim dlatego, że studio filmowe wynajęło dla nich dom z ogrodem. Bruce zamierza złożyć swoje niewybuchy w jego granicach, a jeśli synowie zechcą się gdzieś ruszyć, będzie musiał ich tam zawieźć. W Nowym Jorku mogli po prostu wsiąść do windy i tyle ich widziano.

Szuka ich teraz wzrokiem. Czytają w odległym kącie hali, w ramach nieprzesadnej samodzielności. Młodszy w tej samej chwili podnosi wzrok. Eddie też jest lękowy. Wymieniają spojrzenia, ojciec i syn, dwie różne wersje tej samej twarzy. Bruce zmusza się do szerokiego uśmiechu, próbując wywołać ten sam efekt u syna. Nagle zatęsknił za radością na jego twarzy.

Linie ojciec–syn zrywa idąca w poprzek kobieta w brzęczącej spódnicy. Dzwoneczki dźwięczą przy każdym jej kroku. Kobieta to wysoka Filipinka o masywnej budowie ciała. We włosy ma wplecione drobne koraliki. Podśpiewuje sobie pod nosem. Słowa padają cicho, ale ona rozrzuca je po poczekalni jak płatki kwiatów: chwała, łaska, alleluja, miłość.

Przy oknie, odwrócony plecami do hali, stoi czarnoskóry żołnierz w mundurze. Ma z metr osiemdziesiąt i jest zwalisty jak komoda. Benjamin Stillman zajmuje sporo przestrzeni nawet w obszernym pomieszczeniu. Słucha teraz śpiewającej, głos kobiety przywodzi mu na myśl jego babkę. Wie, że na lotnisku w Los Angeles babka, niczym skaner, natychmiast przejrzy go na wylot. Zobaczy, co zaszło podczas bójki z Gavinem, dostrzeże kulkę, która dwa tygodnie później przebiła mu bok, oraz zamykający ranę worek stomijny. Choć Benjamin jest zaprawiony w używaniu podstępów i przez całe życie coś ukrywa przed innymi i przed sobą samym, przy babce wszystko się wyda. Na razie jednak odnajduje spokój w urywkach pieśni.

Pracowniczka linii lotniczych rozkołysanym krokiem i z mikrofonem w dłoni sunie w stronę wylotu. Zatrzymuje się i prze-

nosi ciężar na jedną nogę, co podkreśla linię bioder. Uniformy innych stewardes są albo zbyt luźne, albo za ciasne, ale jej strój wygląda jak szyty na miarę. Włosy ma gładko zaczesane i upięte w ciasny kok, a wargi błyszczące i uszmkowane na czerwono.

Mark Lasso przerywa wysyłanie poleceń współnikowi i podnosi wzrok znad ekranu. Skończył trzydzieści dwa lata, a w ciągu ostatnich trzech dwukrotnie trafił do rankingu „Forbesa”. Ma ostro zarysowany podbródek, niebieskie oczy nawykłe do rzuca-  
nia piorunujących spojrzeń oraz krótkie naželowane włosy. Jego garnitur został uszyty z matowej tkaniny w dyskretnym, przy-  
dającym prestiżu odcieniu szarości. Mark taksuje kobietę wzro-  
kiem i czuje, że mózg obraca mu się jak na karuzeli i wiruje po  
wczorajszych drinkach z whiskey. Poprawia włosy i skupia całą  
uwagę na stewardesie.

– Szanowni państwo – ogłasza kobieta – załoga lotu 2977 do  
Los Angeles zaprasza państwa na pokład.

Samolot to Airbus A321, biały wieloryb z niebieskim pasem na  
kadłubie. Mieści stu osiemdziesięciu ośmiu pasażerów, a fotele  
– po dwa obszerne w klasie pierwszej i trzy zwykłe w klasie  
ekonomicznej – rozmieszczone są po dwóch stronach biegną-  
cego pośrodku przejścia. Wszystkie bilety na ten lot wyprzedano.

Powoli napływają pasażerowie; o kolana objijają im się nie-  
wielkie torby zawierające przedmioty zbyt cenne lub zbyt po-  
trzebne, by można je było nadać w bagażu głównym. Wchodzący  
najpierw zwracają uwagę na temperaturę. Na pokładzie jest zim-  
no jak w chłodni, a z przewodów klimatyzacji dochodzi prze-  
ciągłe, krytyczne „ciii!”. Nagie ręce pokrywają się gęsią skórką  
i szybko zostają okryte swetrami.

Pielęgniarka Crispina krząta się, żeby pomóc mu przesiąść  
się z wózka na fotel. Zbudził się już i zdążył zirytować na całego.

W chorobie najgorsze jest między innymi to, że ludzie – cholerni nieznajomi – czują się uprawnieni do tego, by go dotykać. Pielęgniarka wyciąga ręce, żeby objąć jego udo i pomóc mu wygodnie usiąść. Jego udo! Jego nogi przemierzały kiedyś sale konferencyjne, wydeptywały kort do squasha i żłobiły najtrudniejsze z czarnych tras narciarskich w Jackson Hole. A teraz kobieta, którą uważa co najwyżej za przeciętną, myśli sobie, że może je ot tak sobie przepasać rękami. Crispin odpędza ją gestem.

– Nie potrzebuję pomocy, żeby się przesiąść na ten dziadowski fotel – mówi.

Benjamin wchodzi na pokład ze spuszczoną głową. Do Nowego Jorku przyleciał samolotem wojskowym, jest to więc jego pierwszy od ponad roku lot pasażerski. Wie jednak, czego się spodziewać, i czuje się nieswojo. W 2002 roku z miejsca skierowano by go do pierwszej klasy, a na jego widok cały samolot zaczęły wiwatować. Teraz jakiś pasażer klaszkuje, dołącza ktoś drugi i jeszcze parę innych osób. Oklaski przypominają kaczkę puszczaną po jeziorze: drgają to tu, to tam, po czym zapadają się pod atramentową powierzchnię i milkną. Odgłos, gdy jeszcze rozbrzmiewa, jest pierzchliwy, podszyty skrępowaniem. „Dziękujemy za pana służbę”, szepcze jakaś młoda kobieta. Żołnierz unosi dłoń w przelotnym salucie i opada na swoje miejsce w klasie ekonomicznej.

Rodzina Adlerów rozdziela się nieopodal wejścia. Jane macha do synów i męża, którzy znajdują się tuż przed nią, a potem kuli ramiona i czmycha do pierwszej klasy. Bruce patrzy chwilę za żoną, po czym zagania szcudłowate kończyny Jordana i Eddiego na tył samolotu. Zerka na mijane numery siedzeń i przelicza, że usiądą dwadzieścia dziewięć rzędów za Jane, która wcześniej obiecała, że przebukuje bilet i usiądzie z nimi w niższej klasie. Bruce zdążył się już nauczyć, że jej obietnice, jeśli są

związane z pracą, znaczą bardzo niewiele. Mimo wszystko za każdym razem postanawia jej uwierzyć, sam więc funduje sobie rozczarowania.

– Który rząd, tato? – pyta Eddie.

– Trzydziesty pierwszy.

Pasażerowie wypakowują przekąski oraz lektury i wtykają je do siatek na oparciach foteli przed sobą. W tyle samolotu roznosi się zapach kuchni indyjskiej. Ci, którzy w domu gotują, z Bruce'em włącznie, wciągają powietrze i myślą: kumin. Jordan i Eddie kłócą się o miejsce przy oknie – ojciec zaklepał już sobie fotel w przejściu, żeby mieć więcej miejsca na nogi – aż starszy, widząc, że uniemożliwia innym pasażerom dotarcie do ich siedzeń, raptownie się poddaje. Zaraz po zajęciu miejsca żałuje tego aktu dojrzałości; czuje się uwięziony między ojcem a bratem. Radość, a wręcz moc, którą odczuwał po rewizji, została stłumiona. Przez kilka minut czuł się jak pełnoprawny dorosły, a teraz widzi w sobie raczej głupie dziecko wciśnięte w krzeselko do karmienia. Postanawia, że przez co najmniej godzinę nie będzie się odzywał do Eddiego za karę.

– Tato – mówi Eddie. – A jak dojedziemy do nowego domu, wszystkie nasze rzeczy już tam będą?

Bruce jest ciekaw, o co szczególnie zamartwia się Eddie: o swój worek sako, nuty na pianino, wypchanego słonika, z którym zdarza mu się jeszcze sypiać? Jego synowie od urodzenia zajmowali z nimi nowojorskie mieszkanie. Teraz zostało podnajęte, a jeśli Jane się powiedzie i postanowią zostać na Zachodnim Wybrzeżu, zapewne je sprzedadzą.

– Nasze kartony dojadą w przyszłym tygodniu – mówi Bruce. – Ale dom jest umeblowany, więc jakoś sobie poradzimy.

Chłopiec, który wygląda na mniej niż swoje dwanaście lat, kiwa głową, zapatrzonej w owalne okienko. Opuszki palców

tak mocno przycisnął do przezroczystego tworzywa, że aż pobielały.

Linda Stollen drży w białych dżinsach i cienkiej bluzce. Niebawem: zdaje się, że siedząca obok kobieta zdążyła już zasnąć. Otuliła twarz błękitną chustką i opiera głowę o okienko. Linda grzebie właśnie w siatkowej kieszonce, licząc na darmowy kocyk, gdy do jej rzędu wchodzi kobieta w brzęczącej spódnicy. Jest tak potężna, że gdy siada przy przejściu, jej ciało rozlewa się ponad podłokietnikiem na przestrzeń osobistą Lindy.

– Dzień dobry, kotku – wita się kobieta. – Florida jestem. Linda przyciąga łokcie do tułowia, żeby uniknąć kontaktu.

– Jak ten stan?

– Ja nie jestem jak stan, ja jestem stanem. Jestem Florida.

Boże święty, myśli Linda. Ten lot trwa sześć godzin. Całą drogę będę musiała udawać, że śpię.

– Jak ci na imię, słonko?

Linda chwilę się waha. To nieprzewidziana sposobność do ożywienia jej nowego ja. W Kalifornii zamierza przedstawiać się nieznanym jako „Belinda”. To element nowego otwarcia: jej udoskonalona wersja, z udoskonalonym imieniem. Doszła do wniosku, że Belinda to ponętna kobieta, od której bije pewność siebie. Linda to zakompleksiona kura domowa o nieforemnych nogach. Zwija w ustach język, żeby przygotować go do wypowiedzenia tego słowa. Be-lin-da. Jej usta nie chcą jednak ułożyć się w te sylaby. Odkasłuje i słyszy swój głos:

– Wychodzę za mąż. Lecę do Kalifornii na oświadczyzny. Mój chłopak na pewno mi się oświadczy.

– No, no – mówi Florida, teraz łagodniejszym tonem. – To ci dopiero.



– Tak – potwierdza Linda. – Też tak sędzę. – Nagle dociera do niej, jak bardzo jest zmęczona i jak niewiele spała. Słowo „sędzę” brzmi w jej ustach groteskowo. Zdaje się, że pierwszy raz w życiu użyła go w zdaniu.

Florida nachyla się i grzebie w olbrzymiej płóciennej torbie.

– Ja tam kilka razy byłam mężatką – oznajmia. – Może nawet więcej niż kilka.

Ojciec Lindy brał ślub trzy razy, a jej matka dwa. Kilkakrotne małżeństwo to dla niej nie pierwszozna, ale sama zamierza mieć tylko jednego męża. Planuje być inna niż wszyscy krewni z linii Stollenów. Lepsza.

– Jeśli zgłodniejesz, kotku, mam masę jedzenia. Ani myślę tykać tego paskudnego pokładowego żarcia. Jeśli można je tak w ogóle nazwać.

Lindzie burczy w brzuchu. Kiedy ostatnio jadła porządy posiłek? Wczoraj? Wpatruje się w swój woreczek z czekoladkami wystający żałośnie z kieszonki na oparciu fotela i z zachłannością, która zdumiewa nawet ją samą, rzuca się na paczuszkę, rozrywa ją i wrzuca do ust cukierka.

– Nie powiedziałaś, jak ci na imię – zauważa Florida.

Linda przerywa przeżuwanie i przedstawia się.

Stewardesa, ta sama, która powitała ich przy wejściu, niespiesznie przemierza pokład, sprawdzając pasy i schowki na bagaże. Zdaje się poruszać w rytmie wewnętrznej melodii: zwalnia, uśmiecha się, po czym zmienia tempo. Obserwują ją zarówno mężczyźni, jak i kobiety; jej gracia hipnotyzuje. Stewardesa najwyraźniej nawykła do powszechnego zainteresowania. Pokazuje język niemowlakowi usadzonemu na kolanach matki i dziecko grucha radośnie. Kobieta zatrzymuje się przy siedzącym z brzegu Benjaminie Stillmanie, przykuca i mówi mu do ucha:

– Ponieważ odpowiadam za obsługę tego lotu, powiadomiono mnie o pańskim stanie zdrowia. Gdyby potrzebował pan pomocy na dowolnym etapie podróży, proszę się nie krępować.

Żołnierz jest zaskoczony, wpatrywał się właśnie w szarą mozaikę za oknem. Samoloty, pasy startowe, poszczerbiona linia miasta w oddali, autostrada, pędzące samochody. Krzyżują spojrzenia i Benjamin zdaje sobie sprawę, że od wielu dni, a może nawet tygodni, unikał wszelkiego kontaktu wzrokowego. Przyjemnie patrzeć jej w oczy, miodowe i przepastne. Potakuje wstrząśnięty i zmusza się do odwrócenia wzroku.

– Dziękuję.

Siedzący w pierwszej klasie Mark Lassio starannie zaaranżował przydzieloną mu przestrzeń: laptop, kryminał i butelka wody w kieszeni na oparciu, telefon w dłoni, buty zdjęte i ustawione pod fotelem. Aktówka, leżąca płasko w schowku na bagaże, zawiera dokumenty firmowe, trzy najdroższe pióra, tabletki z kofeiną i paczkę migdałów. Mark leci do Kalifornii, żeby domknąć ważną transakcję, nad którą pracował miesiącami. Zerka przez ramię, w zamierzeniu mimochodem, ale nigdy nie należał do osób zdających się na przypadek. Jest człowiekiem, który najlepiej prezentuje się w garniturze za trzy tysiące dolarów. Na zasłonkę oddzielającą pierwszą klasę od ekonomicznej zerka z taką samą uporczywością, z jaką podchodzi do treningów, randek w restauracji i prezentacji biznesowych. W biurze nazywają go Taranem.

Stewardesa przykuwa jego uwagę z oczywistych względów, ale poza samą urodą Mark widzi w niej coś jeszcze. Ma na oko ze dwadzieścia siedem lat, czyli jest w wieku, który przydaje kobiecie szczególnego blasku: jedną nogą w młodości, a drugą w dorosłości. W jednej nieskończonej wybujałej chwili jest zarazem gładkolicą szesnastolatką i zaprawioną w bojach czter-

dziestolatką. Od tej zaś szczególnej kobiety bije do tego żar jak od płonącego domu. Mark od dawna, a może nawet nigdy, nie widział osoby tak po brzegi wypełnionej komórkami, genami, życiem jako takim. Składa się z tych samych trybików, co reszta z nich, ale umie wszystko nakręcić.

Gdy stewardesa wchodzi wreszcie do pierwszej klasy, Mark ma ochotę odpiąć pas, złapać jej lewą dłoń swoją prawą, drugą ręką objąć ją w talii i porwać w wir salsy. Nie umie tańczyć salsy, ale jest pewien, że sam kontakt fizyczny z nią rozwiązałby ten problem. Ona jest jak ucieleśnienie broadwayowskiego musicalu, podczas gdy on sam – właśnie to do niego dotarło – jedzie na samych preclach i oparach alkoholowych. Traci raptownie animusz i patrzy na swoje dłonie. W zasadzie byłby zdolny do objęcia jej w talii i porwania do tańca. Robił już takie rzeczy; jego terapeuta mówi, że to „nawroty”. Ale od miesiący nie miał już nawrotów. Wyrzekł się ich.

Gdy znów podnosi wzrok, stewardesa stoi z przodu samolotu, gotowa rozpocząć instruktaż bezpieczeństwa. Wielu pasażerów wychyla się z siedzeń tylko po to, żeby nie stracić jej z oczu, i dziwi się, że po raz pierwszy od lat uważa na instrukcje.

– Szanowni państwo – jej głos faluje po pokładzie – mam na imię Veronica i odpowiadam za obsługę lotu. Znajdą mnie państwo w pierwszej klasie, a moich współpracowników, Ellen i Luisa – tu wskazuje przygaszoną wersję siebie (jaśniejsze brązowe włosy, bledsza skóra) oraz niewysokiego łysego mężczyznę – w klasie ekonomicznej. W imieniu kapitana oraz całej załogi witam państwa na pokładzie. W tej chwili proszę państwa o dopilnowanie, by oparcia i rozkładane stoliki znajdowały się w pozycji pionowej. Należy również wyłączyć wszelkie urządzenia elektroniczne. Dziękujemy za zastosowanie się do zaleceń.

Mark posłusznie wyłącza telefon. Na ogół wsuwa go po prostu do kieszeni. W jego piersi budzi się ten dźwięczny ton odczuwalny wtedy, gdy robi coś nie dla siebie.

Siedząca obok niego Jane Adler z rozbawieniem obserwuje oczarowanych pasażerów. Po dwudziestce, czyli w okresie, w którym poznała Bruce'a, przez kilka lat była, zdaje się, niezłą laską, ale jeśli chodzi o rodzaj seksapilu, nigdy nie mogła się równać z Veronicą. Stewardesa pokazuje teraz pasażerom, jak zapiąć pas, a koleś z Wall Street zachowuje się, jakby nigdy w życiu nie widział pasa, a tym bardziej nie umiał się nim posługiwać.

– W samolocie znajduje się kilka wyjść ewakuacyjnych – ciągnie Veronica. – Proszę się rozejrzeć i odnaleźć najbliższe. W razie konieczności ewakuacji do wyjść skierują państwa lampki podłogowe. Żeby otworzyć drzwi, należy przesunąć dźwignię zgodnie z kierunkiem wskazanym przez strzałkę. Każde drzwi wyposażone są w nadmuchiwaną rampę, którą można też odpiąć i wykorzystać jako tratwę ratunkową.

Jane wie, że jej siedzący gdzieś z tyłu mąż zdążył już namierzyć wyjścia ewakuacyjne i zdecydować, do którego popchnie chłopców w sytuacji awaryjnej. Wyczuwa też, że przewrócił lekceważąco oczami na wzmiankę o nadmuchiwanych rampach. Bruce przetwarza rzeczywistość w kategoriach liczbowych i na tej podstawie ocenia prawdziwość twierdzeń, a jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by ktoś ocalał z katastrofy lotniczej dzięki dmuchanej rampie. To bajeczka, która ma dać pasażerom fałszywe poczucie kontroli. Bruce'a bajeczki nie obchodzą, ale większość ludzi chyba je lubi.

Crispin zadaje sobie pytanie, dlaczego nigdy nie poślubił kobiety o takim ciele jak u stewardesy. Żadna z jego żon nie miała tyłka godnego uwagi. Może szczupła dziewczyna jest stworzona dla młodego mężczyzny, myśli, i człowiek dopiero z wiekiem

zaczyna doceniać wartość miękkiego legowiska. Nie pociąga go ta kobieta; Crispin ma kilkoro wnucząt w jej wieku, poza tym zapomniał już, co to żar w lędźwiach. Sama idea tarzania się po łóżku z drugim człowiekiem wydaje mu się niesmacznym żartem. W młodości oczywiście od tego żartu nie stronił. Chwyta się poręczy fotela, bo piekący ból raz za razem przeszywa mu brzuch, i dociera do niego, że wszystkie najważniejsze rozdziały jego życia osobistego rozpoczęły się i zakończyły w wymiętej pościeli. Wszystkie żony, przyszłe żony, były żony swoje warunki negocjowały w sypialni.

„Dzieci zostają ze mną”.

„Ślub weźmiemy w czerwcu w rezydencji za miastem”.

„Dom letniskowy zgarniam ja”.

„Jak mi nie opłacisz rachunków, powiem wszystko twojej żonie”.

Zerka na Veronicę, która objaśnia teraz, jak nadmuchać kamizelkę ratunkową przez rurkę. Może gdyby kobiety, które wybierałem, miały trochę więcej ciała, myśli, te związki byłyby trwalsze.

– Przypominamy państwu, że na pokładzie obowiązuje całkowity zakaz palenia – ogłasza z leniwym uśmiechem stewardesa. – W razie pytań prosimy o kontakt z członkami załogi. W imieniu Trinity Airlines pragnę... – zawiesza głos na tym słowie, posyłając je w powietrze jak bańkę mydlaną – ...życzyć państwu miłego lotu.

Veronica usuwa się na bok, a pasażerowie, pozbawieni centralnego obiektu spojrzeń, sięgają po książki i czasopisma. Niektórzy przymykają oczy. Przewody klimatyzacji syczą coraz głośniej. Przeszkadzają podróżnym: po części dlatego, że dźwięk dobiega z góry, a po części z powodu towarzyszącego mu lodowatego podmuchu.

Jane Adler naciąga ciasniej sweter, żeby pokonać zimno, i mości się w poczuciu winy wywołanym tym, że przed wylotem nie ukończyła scenariusza. Nie znosi latać, a teraz musi siedzieć z dala od rodziny. To kara, myśli sobie. Za moje lenistwo, za moje uniki, za to, że w ogóle wzięłam to obłądne zlecenie. Scenariusze seriali telewizyjnych pisała od tak dawna w Nowym Jorku między innymi dlatego, że dzięki temu nie musiała podróżować. Ale proszę bardzo, właśnie zdecydowała się na kolejną szansę, kolejną pracę i kolejny lot.

Jej myśli biegną znajomym torem, w momentach niepokoju odtwarza w pamięci minione chwile, może po to, żeby przekonać samą siebie, że coś przeżyła. Doczekała się wspomnień, co znaczy, że przed nią jeszcze następne. Oto biegnie z siostrą po rozległej kanadyjskiej plaży, w zgodnym milczeniu rozdziela z ojcem płachty gazety przy kuchennym stole, sika w parku miejskim po wypiciu zbyt dużej ilości szampana na uczelnianym przyjęciu, obserwuje Bruce'a, który marszcząc z namysłem brwi, stoi na rogu ulicy w West Village, rodzi młodszego syna, bez znieczulenia i w wannie, zdumiona bydlęcymi odgłosami dobywającymi się z jej płuc. A oto stos jej siedmiu ulubionych powieści, które pieczołowicie przechowuje od dziecka, a także Tilly, jej najlepsza przyjaciółka, oraz sukienka, którą ona sama wkłada na wszystkie ważne spotkania, ponieważ czuje się w niej szczupła i jędrna. I jeszcze babcia ściągająca wargi do posłania buziaka na odległość i pozdrawiająca ją śpiewem: „Dzień dobry, dobry dzień!”.

Jane przeoruje się przez błahostki i sprawy wielkiej wagi, próbując oderwać myśli od swojego obecnego położenia oraz celu podróży. Jej palce same odnajdują i uciskają punkt pod obojczykiem, gdzie ma znamię w kształcie komety. To jej dziecięcy nawyk. Uciska znamię, jakby chciała nawiązać kontakt ze swoim prawdziwym ja. Uciska aż do bólu.

Crispin Cox wygląda przez okno. Lekarze z Nowego Jorku – najlepsi lekarze z Nowego Jorku, a więc chyba i z całego świata? – zapewnili go, że warto poddać się leczeniu w szpitalu specjalistycznym w Los Angeles. „Znają tego raka na wylot – powiedzieli. – Poddamy pana badaniu klinicznemu”. Crispin rozpoznał ten błysk w lekarskim oku. Nie chcieli, żeby umarł, bo to by znaczyło, że i oni pewnego dnia polegną. „Wielcy ludzie walczą. Nie gasną. Płoną jak jebany ogień”. Crispin przytaknął, bo jasne, że miał zamiar pokonać tę głupią chorobę. Jasne, że się jej nie podda. Miesiąc temu złapał jednak wirusa, który nie tylko wysał z niego energię, ale też przepelnił go obawami. W głowie wybrzmiał mu nowy głos, który zwiastował nieszczęście i skłonił go do podważenia wcześniejszych założeń. Wirus zniknął, ale niepokój pozostał. Crispin praktycznie przestał opuszczać mieszkanie. Gdy zadzwonił lekarz, żeby umówić go na ostatnie przed wylotem badanie krwi, Crispin odparł, że nie ma czasu, ale w rzeczywistości bał się, że wyniki odzwierciedlą jego obecne samopoczucie. Jego jedynym ustępstwem na rzecz tego nowego, niepożądanego nastroju było zatrudnienie na czas lotu pielęgniarki. Czuł się nieswojo na myśl, że miałby znaleźć się sam w przestworzach.

Bruce Adler patrzy na chłopców – miny mają nieodgadnione. Nachodzi go znajoma myśl, że jest zbyt stary i niezorientowany, by móc ich rozszyfrować. Kilka dni wcześniej, w oczekiwaniu na wolny stolik w chińskiej restauracji, Bruce zauważył, że Jordan dostrzegł przechodzącą w towarzystwie rodziny rówieśniczkę. Nastolatkwowie spojrzeli na siebie z przekrzywionymi głowami, po czym oblicze Jordana, jak przecięte na pół, rozwarło się w szerokim uśmiechu. Wyglądało to tak, jakby syn podarował tej nieznamomej całego siebie: swoją radość, miłość, rozum, stuprocentową uwagę. Obdarzył ją miną, której Bruce, przyglądający

się synowi każdego dnia od jego urodzenia, nigdy wcześniej nie zauważył. Nie wiedział nawet o jej istnieniu.

Benjamin poprawia się na wąskim siedzeniu. Najchętniej usiadłby w kokpicie, za zaryglowanymi drzwiami. Piloci mówią wojskowym językiem, gotowym szyfrem, żywo i precyzyjnie. Gdyby mógł przez kilka minut posłuchać, jak przygotowują się do startu, odetchnąłby pełną piersią. Nie podoba mu się dobiegająca zewsząd mieszanina pogaduszek i pochrapywania. W zachowaniu cywilów przeszkadza mu ich bezładność. Siedząca obok niego biała kobieta, od której czuć jajkami, już dwa razy spytała, czy był w Iraku czy „w tym drugim miejscu”.

Linda wykonuje dziwaczne i wyczerpujące ćwiczenie mięśni brzucha, usiłując odsunąć się od obfitego ciała Floridy bez dotykania pasażera śpiącego po jej drugiej stronie. Czuje się jak Krzywa Wieża w Pizie. Rejestrując napięcie mięśni skośnych, żałuje, że nie kupiła więcej czekoladek. W Kalifornii, z Garym, zjem więcej, myśli i od razu pogodnieje. Odchudza się od dwunastego roku życia i dotąd nie brała pod uwagę możliwości dźwignania brzemienia nadwagi. Chudość zawsze zdawała jej się niezbędna, ale może taka nie jest? Stara się ujrzeć w swoich bujnych kształtach coś ponętnego, seksownego.

Florida znów śpiewa, ale tak głębokim głosem i tak cicho, że brzmi to jak pomruk. Wokół, jak na sygnał, rozlega się dudnienie uruchamianych właśnie silników. Drzwi wejściowe zostają szczelnie zamknięte. Samolot kołysze się i drga, a Florida nuci. Tryska melodiami i zalewa nimi najbliższe otoczenie. Linda zaciska dłonie na udach. Maszyna nabiera prędkości, a Jordan i Eddie, mimo zatargu, stykają się krzepiąco ramionami. Pasażerowie trzymający książki i czasopisma już nie czytają. Ci z zamkniętymi oczami wcale nie śpią. Gdy samolot odrywa się od ziemi, wszyscy czuwają.



12 czerwca 2013

*wieczór*

Go-Team, komisja delegowana przez NTSB, Narodową Radę Bezpieczeństwa Transportu, dociera na miejsce siedem godzin po katastrofie – tyle czasu potrzebuje, żeby dolecieć z Waszyngtonu do Denver, a następnie dojechać wynajętymi samochodami do niewielkiego miasta na równinie północnego Kolorado. Letnie dni są długie, specjaliści pojawiają się tam więc jeszcze przed zmrokiem. Właściwą pracę rozpoczną nazajutrz o wschodzie słońca. Przylecieli, żeby dokonać wstępnego rozpoznania; w końcu od czegoś trzeba zacząć.

Na miejscu przewodniczącą komisji wita burmistrz miasta. Razem pozują reporterom do fotografii. Poza uściskiem dłoni burmistrz – który jest również głównym księgowym, ponieważ władze nie mogą sobie pozwolić na etaty – trzyma ręce w kieszeniach, żeby ukryć ich drżenie.

Policja otoczyła miejsce katastrofy; przedstawiciele NTSB w pomarańczowych kombinezonach ochronnych i z maseczkami na twarzach pną się po zgliszczach. Teren jest płaski we wszystkich kierunkach, powierzchnia wypalona, zwęglona jak

przetrzymana pod opiekaczem grzanka. Ogień dogasł, ale powietrze bucha gorącym. Samolot przeleciał przez zagajnik i wbił się w ziemię. Całe szczęście, powtarzają sobie śledczy, że do tragedii nie doszło na terenie zabudowanym. Na łądzie nie ucierpiał żaden człowiek. Między fotelami, bagażami, kończynami i żelastwem odnajdują dwie zmiażdżone krowy i martwego ptaka.

W ciągu doby zjeżdżają się krewni ofiar: samolotami do Denver, a dalej samochodami. W śródmiejskim Marriotcie zarezerwowano dla nich kilka pięter. Trzynastego czerwca o siedemnastej w sali bankietowej hotelu rzecznik NTSB, mężczyzna o łagodnym usposobieniu i twarzy poznaczonej bliznami po trądziku, udziela rodzinom i mediom bieżących informacji.

Rodziny przysiadają na składanych krzeselkach. Wychylają się, jakby skóra na ich ramionach miała uszy; zwieszają głowy, jakby mieszki włosowe mogły wychwycić to, czego nie wychwyci żadna inna część ciała. Rozszerzone pory, rozwarte palce. Ludzie słuchają bacznie z nadzieją, że pod przekazywanymi faktami kryją się lepsze, mniej druzgocące wieści.

Na końcu sali leży niezauważona przez nikogo sterta kwiatowych stroików. Czerwone i różowe peonie w olbrzymich wazonach. Kaskada białych lilii. To pozostałość po odbywającym się tu wczoraj weselu. Przez ten zapach niektórzy krewni ofiar do końca życia nie wejdą do kwaciarni.

Podczas briefingu reporterzy stoją osobno, a rozmawiając z krewnymi, unikają ich spojrzeń. Wypracowali sobie własne tiki obronne: jeden z mężczyzn drapie się po rękach jak poparzony trującym bluszczem, a jakaś korespondentka raz po raz poprawia włosy. Wiadomości z ostatniej chwili nadają na żywo do telewizji i za pośrednictwem wysyłanych mejlowo komunikatów. Koncentrują się przede wszystkim na „znanych” pasażerach. Baronie

przemysłu tworzyw sztucznych, który zbudował imperium i poprzez automatyzację linii produkcyjnej pozbawił pracy tysiące robotników. Cudownym dziecku Wall Street, z fortuną rzędu stu czterech milionów dolarów. Oficerze armii amerykańskiej, trzech wykładowcach uniwersyteckich, działacze na rzecz praw człowieka oraz dawnej scenarzystce serialu *Prawo i porządek*. Wlewają fakty w wygłodniałe usta; ta historia wstrząsnęła światem. W każdym zakątku internetu ktoś wtrąca swoje trzy grosze.

Jakaś reporterka przystawia do kamery egzemplarz „New York Timesa” i pokazuje olbrzymi, wypisany wersalikami nagłówek z rodzaju tych zarezerwowanych na ogół dla wyborów prezydenckich lub spacerów po Księżycu. Tytuł głosi: 191 OFIAR KATASTROFY LOTNICZEJ, 1 OSOBA PRZEŻYŁA.

Gdy briefing dobiega końca, krewni mają tylko jedno pytanie, zmierzają ku niemu, jak podąża się do okna w ciemnym pokoju: „Co z chłopcem?”.

Nienaruszone elementy samolotu zostaną przewiezione do ośrodka NTSB w Wirginii i tam ponownie złożone. Teraz specjaliści poszukują czarnej skrzynki. Dowodząca zespołem kobieta, sześćdziesięcioletnia legenda w branży znana jako Donovan, jest przekonana, że ją odnajdą.

Dla osoby z jej doświadczeniem miejsce katastrofy jest nieskomplikowane. Szczątki rozrzucone są w promieniu niemal kilometra, a wokół brak zbiorników wodnych i terenów podmokłych, sama ubita ziemia i trawa. Nic tu się nie może trwale zagubić, wszystko jest pod ręką. Osmolony metal, pęknięte wóół siedzenia, odłamki szkła. Szczątki ludzkie, żadnych nienaruszonych zwłok. Łatwo zignorować fragmenty ciał i skoncentrować się na żelastwie. Na tym, że ta rozsypana układanka coś oznacza. Zespół Donovan składa się z mężczyzn i kobiet, którzy poświę-

cili życie zawodowe oczekiwaniu na katastrofę. Silnie zdeterminowani, w maskach osłaniających ściągnięte wargi, dokonują oceny sytuacji i zabezpieczają dowody.

Po kilku dniach wydzielone w Marriocie pokoje pustoszeją. Rodziny wyjechały. Skończyły się codzienne briefingi. Ekipa z NTSB odnalazła czarną skrzynkę i odleciała do Wirginii. Zapowiedziano, że w ciągu trzech tygodni upublicznione zostaną wstępne wyniki badań, a za mniej więcej pół roku w Waszyngtonie odbędzie się wysłuchanie publiczne połączone z prezentacją dowodów.

W mediach pojawiły się nowe wątki: niektórzy reporterzy skupili się na ciotce i wuju chłopca, którzy przylecieli z New Jersey, żeby go adoptować. Trzydziestodwuletnia Lacey Curtis to młodsza siostra Jane Adler i jedyna żyjąca krewna chłopca. Ze zdjęcia niepewnie uśmiecha się pyzata i piegowata blondynka. Wiadomo o niej tylko tyle, że jest gospodynią domową. Jej mąż, czterdziestojednoletni John Curtis, świadczy usługi informacyjne lokalnym firmom. Są bezdzietni.

Odbiorcy nadal chłoną wszelkie informacje na temat katastrofy, więc telewizyjni i internetowi eksperci niestrudzenie spekulują. Czy piloci byli pijani? Czy doszło do usterki samolotu? Czy wiadomo na sto procent, że to nie zamach terrorystyczny? A może któryś z pasażerów popadł w obłąd i wtargnął do kokpitu? Czy rozpętała się nawałnica? Statystyki Google'a pokazują, że w USA tydzień po zjściu pięćdziesiąt trzy procent wyszukiwanych haseł dotyczyło właśnie katastrofy.

– Co się dzieje – grzmi prezenter telewizyjny starej daty – że mimo wszystkich okropnych wieści w tym okropnym świecie nas tak bardzo pochłania akurat ten rozbity samolot i ten jeden mały chłopiec?

Leży w szpitalu od tygodnia. Do sali wchodzi o kulach kobieta – to szefowa działu PR szpitala w Denver, która ma za zadanie powiadamiać rodzinę o wszystkim, co niezwiązane bezpośrednio ze stanem zdrowia pacjenta.

– Susan – odzywa się na powitanie John Curtis. To wysoki brodaty mężczyzna, blady i z brzuszkiem, jak przystało na osobę spędzającą większość życia przed komputerem.

– Odezwał się dzisiaj?

Lacey – też blada, w poplamionej kawą bluzce – kręci głową.

– Odkąd mu powiedzieliśmy, to nie.

– Zdecydowali państwo, czy mamy używać imienia Eddie czy Edward? – pyta Susan.

John odwraca się do żony, patrzą sobie w oczy. Spojrzenia – przeciągłe i wymęczone – świadczą o tym, że odkąd odebrali telefon, spali najwyżej godzinę. Samolot rozbił się w środku tygodnia, gdy Lacey i John mieli ciche dni, ponieważ ona chciała kontynuować starania o dziecko, a on nie. A teraz kłótnia i milczenie wydają się nic nieznaczące. Zostali strąceni z konia, którym było ich życie. Ich siostrzeniec leży teraz przed nimi, kompletnie zdruzgotany, i to za niego teraz odpowiadają.

– W stosunku do nieznajomych, tak? – upewnia się Lacey. – Nie znają ani jego, ani nas. Media powinny posługiwać się pełnym imieniem. Edward.

– Nie Eddie – dodaje John.

– Dobrze – odpowiada Susan.

Edward – bo tak ma teraz na imię – śpi albo udaje, że śpi. Troje dorosłych patrzy na niego, jakby go nigdy wcześniej nie widzieli. Ma głowę w bandażach, a spod nich wysuwają się gęste sterczące włosy. Jest blady jak ściana i ma podkrążone oczy. Stracił na wadze i wygląda na mniej niż dwanaście lat. Na piersi

ma fioletowe zasinienie, które wykwitła ponad kołnierz obszernej koszuli szpitalnej. Obie nogi ma w gipsie, w tym jedną, prawą, na wyciągu, a stopy obciążnięte pomarańczowymi skarpetkami kupionymi w szpitalnym sklepiku. Białą napis na podszewkach głosi DENVER!!!

Edward otacza ramieniem wypchanego słonika, na którego Lacey nie może patrzeć. Pracownicy firmy transportowej wynajętej do przewiezienia przez cały kraj dobytku rodziny Adlerów zatrzymali się po katastrofie w motelu w Omaha i opróżnili na parkingu całą ciężarówkę, wypakowali na asfalt wszystkie kartony. Otworzyli pudło z napisem POKÓJ EDDIEGO, wyłowili z niego słonika i przesłali do szpitala w Denver z liścikiem o treści: „Pomyśleliśmy, że chłopcu może się przydać”.

Susan mówi:

– Skoro jest w stabilnym stanie, za dwa dni, zgodnie z planem, będzie można go przewieźć. Ktoś udostępnił swój prywatny samolot, więc mogą państwo polecieć z nim.

– Wszyscy są tacy życzliwi! – mówi Lacey i zaraz się czerwieni. Ma tyle piegów, że rumieniec zlewa je w jedną całość. Raz po raz załamuje piegowate ręce, jakby ten powtarzalny ruch mógł jakoś odmienić tę niedopuszczalną sytuację.

– Jeszcze kilka spraw – mówi Susan i nachyla się nad kulemi. – Wchodzili państwo do internetu?

– Nie – odpowiada John. – Nie bardzo.

– Tak do państwa wiadomości: na Facebooku wyskoczyło kilka fanpage'ów poświęconych albo lotowi, albo Edwardowi. Na Twitterze pojawiło się konto @cudownychłopiec z jego portretem na zdjęciu profilowym, ale już je zlikwidowano.

John i Lacey robią wielkie oczy.

– Komentarze są z reguły przychylne – wyjaśnia Susan. – Kondolencje, wyrazy współczucia, takie rzeczy. Pokazywali

państwa w wiadomościach, bo ludzie byli ciekawi, pod czyją opiekę trafi Edward. Może natkną się państwo na podobne doświadczenia i chciałam państwa przygotować.

– Z reguły przychylnie? – powtarza Lacey.

– Trolle – wyjaśnia John.

– Trolle? – Lacey ma oczy jak koła młyńskie.

– Ludzie, którzy piszą w internecie prowokujące komentarze, żeby skłonić innych do gwałtownych reakcji – mówi John. – Ich celem jest wytrącenie internautów z równowagi. Im więcej ludzi zirytuje, tym większy odnoszą sukces.

Lacey marszczy nos.

– Niektórzy uważają trolling za odmianę sztuki – dodaje John.

Susan prawie niezauważalnie wzdycha.

– Na wypadek, gdybyśmy już nie mieli okazji porozmawiać jak należy, chciałam państwu przypomnieć o adwokatach specjalizujących się w obrażeniach ciała i wypadkach lotniczych. Obawiam się, że rzucą się na państwa jak sępy, ale nie wolno im się do państwa zbliżać przez czterdzieści pięć dni od katastrofy. Jeśli ktoś się wychyli, proszę go zignorować albo pozwać. Koszty leczenia pokrywają, jak wiadomo, linie lotnicze. Na ugody przyjdzie czas. Najpierw zostanie wypłacona odprawa pośmiertna, potem pieniądze z ubezpieczenia na życie, o ile któreś z rodziców Edwarda miało polisę. Załatwienie reszty trochę potrwa i proszę nie dać się nikomu przekonać, że należy pilnie wkroczyć na drogę sądową.

– Dobrze – odpowiada Lacey, ale widać, że nie słucha. Wieszający w kącie telewizor jest wyciszony, ale na dole sunie pasek z napisem: CUDOWNY CHŁOPIEC ZOSTANIE PRZENIESIONY DO SZPITALA W POBLIŻU MIEJSCA ZAMIESZKANIA.

– Ludzie naprawdę potrafią być straszni – zaznacza Susan.

Edward porusza się na łóżku. Odwraca głowę, odsłaniając gładki, posiniaczony policzek.

– Niektórzy członkowie rodzin innych pasażerów samolotu chcieli się spotkać z Edwardem, ale nie dopuściliśmy do tego – ciągnie.

– Chryste – mówi John. – A po co chcą się z nim spotkać? Susan wzrusza ramionami.

– Może dlatego, że Edward ostatni widział ich bliskich żywych.

Z gardła Johna dobywa się cichy pomruk.

– Przepraszam – mówi Susan i pąsowieje. – Mogłam to inaczej ująć.

Lacey siada na jednym ze stojących pod oknem krzeseł. Promień słońca tworzy wokół jej umęczonej twarzy efekt aureoli.

– Jeszcze jedno – dodaje Susan. – Prezydent chce zadzwonić.

– Prezydent?

– Tak, prezydent. Stanów Zjednoczonych.

John się śmieje, urwane parsknięcie rozprasza na moment szczególną atmosferę tej sali. Atmosferę oczekiwania na kolejne słowo leżącego na łóżku chłopca. Atmosferę zamykającą usta każdemu, kto wchodzi, dzielącą zebranych na tych dotkniętych stratą i wszystkich pozostałych.

Lacey dotyka nieumytych włosów, a John mówi:

– On zadzwoni, Lace. Nie będzie cię widział.

W porze spodziewanego telefonu pielęgniarki budzą chłopca krzątanią: pobieraniem krwi i sprawdzaniem parametrów życiowych.

– Jestem tutaj – mówi Lacey. – I wujek John też.

Edward robi grymas.



Lacey czuje przyływ paniki. Czy on cierpi? A potem dociera do niej, dlaczego wykrzywia mu się twarz. Jej siostrzeniec próbuje się uśmiechnąć, żeby sprawić jej przyjemność.

– Nie, nie – szepcze Lacey. – Możemy już odebrać? – pyta zgromadzonych.

Gdy się odwraca, Edward przestaje się starać.

Przy łóżku podłączono nowiutki telefon i Susan wciska teraz przycisk.

– Edward? – Głos jest głęboki, wypełnia pomieszczenie.

Z perspektywy zebranych w sali dorosłych ułożone poziomo ciało chłopca wydaje się drobne i wyniszczone.

– Tak?

– Młody człowieku... – Prezydent zawiesza głos. – W twojej obecnej sytuacji słowa, moje czy kogokolwiek innego, niewiele dla ciebie znaczą. Mogę sobie tylko wyobrażać, co przeżywasz.

Edward oczy ma szeroko otwarte, spojrzenie zmatowiałe.

– Chciałem tylko przekazać, że cały kraj składa ci wyrazy współczucia i trzyma kciuki, żebyś to przetrwał. Trzymamy za ciebie kciuki, chłopcze.

Lacey trąca rękę Edwarda, ale on milczy jak zaklęty.

Głęboki głos powtarza wypowiedziane słowa, teraz wolniej, jakby mówca był przekonany, że to coś zmieni.

– Cały kraj trzyma za ciebie kciuki.

W samolocie do New Jersey Edward milczy. Milczy też w karetce, która ma zaciemnione szyby chroniące chłopca przed reporterskimi obiektywami. Przez pozostałe dwa tygodnie spędzone w szpitalu w New Jersey, w miarę jak goi mu się płuco, a noga zostaje zdjęta z wyciągu, odzywa się tylko w sprawach związanych ze swoim stanem zdrowia.

– Wszystko ci się pięknie goi – mówi lekarz.

– Ciągłe słyszę pstrykanie.

Lekarzowi rzędzie mina, wskaźnik obracającej się w jego głowie niewidzialnej tarczy zatrzymuje się na kresce „chłodna ocena”.

– Od kiedy je słyszysz?

Chłopiec zastanawia się chwilę.

– Odkąd się obudziłem.

Wezwany neurolog zleca nowe badania, w tym rezonans magnetyczny głowy. Poza siwymi brwiami nie ma żadnego widocznego owłosienia. Co dzień ujmuje dłonią twarz Edwarda i zagląda mu głęboko w oczy, jakby tylko on umiał odczytać zapisane w nich informacje.

Neurolog wywołuje Lacey i Johna na korytarz.

– Prawda jest taka – zaczyna – że gdyby dziesięć różnych osób przeżyło w dzieciństwie jednakowy uraz – silne wstrząsy i uderzenia, niezmiernie szybkie kołysanie wzdłużne, a potem gwałtowne zatrzymanie – każda miałyby inne objawy. – Unosi siwe brwi dla podkreślenia wypowiedzi. – Nasze narzędzia diagnostyczne w większości nie wykrywają pourazowych uszkodzeń mózgu, nie mogę więc powiedzieć państwu z całą pewnością, co dolega i będzie dolegać Edwardowi. – Skupia uwagę na Lacey. – Proszę sobie wyobrazić, że chwytam panią za ramiona i potrząsam tak mocno, jak tylko umiem. Możliwe, że nie odniesie pani widocznych obrażeń, żadnych naciągniętych mięśni i tym podobnych, ale pani ciało odczuje skutki urazu. Prawda? To samo dotyczy Edwarda. W najbliższych miesiącach, a nawet latach, od czasu do czasu mogą występować u niego rozmaite objawy. Depresja, napady lęku i paniki, tego typu rzeczy, poza tym może mieć zaburzenia równowagi, słuchu i węchu. – Lekarz zerka na zegarek. – Jakies pytania?

John i Lacey patrzą po sobie. Wszystko, włącznie z językiem, rozbiło się i rozsypało pod ich stopami. „Jakieś pytania?”

– Na razie nie – odzywa się w końcu John, a Lacey kręci głową.

W środku nocy budzi chłopca pielęgniarka badająca temperaturę i ciśnienie.

– W porządku? – pyta.

Łysy lekarz zaczyna zawsze od: „Boli?”, a gdy co rano wchodzi ciotka Edwarda, odsuwa mu włosy z czoła i pyta szeptem: „Jak się czujesz?”.

Chłopiec nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Nie może się zastanawiać, jak się czuje; uchylanie tych drzwi jest zbyt niebezpieczne. Stara się trzymać z daleka od myśli i uczuć, jakby były meblami, które można wyminąć. Gdy pielęgniarka przełącza telewizję na kanał z kreskówkami, Edward je ogląda. Ciągłe zasycha mu w ustach, a pstrykanie w ucho pojawia się i znika. Czasem jest świadomy, ale jakby nieświadomy i godziny mijają wtedy niepostrzeżenie. Trzyma na kolanach tacę ze śniadaniem, a już po chwili za oknem blaknie dzień.

Nie lubi codziennych spacerów, które nie są właściwie spacerami, ponieważ siedzi na wózku.

– Potrzebujesz zmiany otoczenia – powtarza mu w każdy dzień powszedni pielęgniarka z dredami. Pielęgniarka weekendowa, blondynka o włosach tak długich, że sięgają jej niemal do pośladków, nie mówi nic. Po prostu ładuje go na wózek i prowadzi na korytarz.

A tam czekają ludzie. Ciągną się wzdłuż ścian. Chorzy ludzie, też na wózkach albo stojący chwiejnie w drzwiach. Pielęgniarki próbują ich zagonić z powrotem do sal.

– Proszę nie blokować przejścia! – krzyczy pielęgniarz. – To wbrew przepisom przeciwpożarowym. Proszę przepuścić chłopca.

Jakiś staruszek robi znak krzyża, a w jego ślady idzie ciemnoskóra kobieta z wytatuowanym na ręce numerem IV. Zaciekawiony rudy nastolatek, mniej więcej w wieku Jordana, zadziera na powitanie brodę. W Edwarda wpatruje się tak wiele par oczu, że ten widok przypomina obraz Picassa: setki gałek ocznych, a dopiero potem garść kończyn i fryzur. Starsza kobieta wyciąga rękę i dotyka jego dłoni.

– Bóg cię wybrał.

Najgorsi są płaczący. Edward stara się nie patrzeć, ale ich szloch grzmie jak dźwięki organów i zasysają całe powietrze. To okrutne, że przelewają na niego swoje uczucia, skoro jego własny smutek i lęk są tak przemożne, że musi je przed nimi ukrywać. Łzy tych nieznanomych kłują go w odarte z naskórka ciało. Znów słyszy pstrykanie, widzi ludzi z chusteczkami przy twarzach, a potem pielęgniarka dociera do końca korytarza, rozsuwają się drzwi i już są na dworze. Edward patrzy na swoje popsute nogi, żeby nie widzieć śmiertelnie groźnego nieba.

Wypuszczają go ze szpitala, gdy jest w stanie utrzymać ciężar ciała na sprawniejszej nodze, czyli poruszać się o kulach. Urazy głowy i żeber zdążyły się wygoić, a sińce na piersiach i nogach są już żółte, a nie fioletowe. Personel gromadzi się w sali, żeby go pożegnać, i dopiero wtedy Edward zdaje sobie sprawę, że nie zna niczyjego imienia. Każda osoba ma na piersi plakietkę, ale na samą myśl o czytaniu boli go głowa. Zastanawia się, czy to jeden z objawów. Może już nigdy nie zestawi imienia z twarzą i jedynymi znanymi mu osobami pozostaną te sprzed katastrofy. Ta myśl dziwnie go krzepi, gdy ściska dłoń łyszego lekarza, blond pielęgniarki i jeszcze tej drugiej, z dredami.

W progu szpitala podnosi się z wózka i dostaje do rąk kule. Idzie wolno do samochodu, między Lacey a Johnem. Obecność

ciotki i wujka ma dojmująco nowy posmak. Ostatnio widział ich w Boże Narodzenie, gdy spotkali się na brunchu w restauracji na Manhattanie. Pamięta, że ojciec i wuj rozmawiali o nowym języku programowania. Edward siedział między matką a Lacey i tak się nudził, że zbudował domek ze sztućców i z serwetki. Kobiety przeskakiwały z jednego pozornie jałowego tematu na drugi: sąsiedzi, lody z rzadkimi owocami jagodowymi przygotowywane raz do roku przez Lacey, przystojny aktor grający w jednym z seriali telewizyjnych mamy.

Gdyby ktoś go zapytał, odpowiedziałby, że kocha ciotkę i wuja, ale zawsze było jasne, że nie spotykają się ze względu na niego czy na Jordana. Dorosli gromadzą się z powodu innych dorosłych. Spotkania służyły temu, żeby matka i ciotka wymieniły łzawe uściski i wypowiedziały sobie nawzajem we włosy obietnicę: „Będziemy się częściej spotykać”. Edward ma przed oczami obraz brata, który siedzi po drugiej stronie stołu z dłońmi złożonymi tak, że palce stykają się tylko opuszkami, i próbuje się wtrącić do specjalistycznej rozmowy taty i Johna, jakby i on sam był już dorosły. Żywe wspomnienie brata jest tak bolesne, że na sekundę całkowicie zaćmiewa mu wzrok i wytrąca go z równowagi.

– Ostrożnie – mówi John.

– Do widzenia, Edwardzie – dodają głosy.

– Powodzenia, Edwardzie.

Otwierają się przed nim drzwi samochodu. Dopiero wtedy dostrzega po drugiej stronie ulicy niewielkie skupisko ludzi. Półprzymny zastanawia się, co tam robią, i wtedy któraś z osób wykrzykuje jego imię, a inni, widząc, że chłopiec na nich patrzy, klaszczą i machają do niego. Przygląda się trzymanej przez małą dziewczynkę tabliczce na kij. Dostaje bólu głowy na widok słów: „Bądź silny”. Obok jakiś transparent głosi wielkimi literami: CUDOWNY CHŁOPIEC!

– Nie wiem, skąd się dowiedzieli, że wychodzisz – mówi John. – Nigdzie o tym nie pisali.

Lacey pociera jego ramię, a że Edward stoi niepewnie na obutej nodze, prawie się przewraca.

– Jakby myśleli, że jestem kimś znanym.

– Bo jesteś, w pewnym sensie – mówi John.

– Jedźmy – dodaje Lacey.

Wsiadają do samochodu i przejeżdżają przez machający tłum z tabliczkami. Edward obserwuje go przez okno. Macha raz, nieśmiało, a jakiś mężczyzna zaciska w powietrzu pięść, jakby tylko na to czekał. W głowie Edwarda znów rozlega się pstrykanie, które przypomina mu zapamiętane z lekcji pianina staccato metronomu. Zapada się w siedzenie i wsłuchuje w swój organizm. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej tak silnie atakowały go dźwięki. W tle natarczywego pstrykania rozbrzmiewa mniej wyraźny, nie tak uporządkowany odgłos – dudnienie jego własnego serca.

Jadą do domu, który Edward odwiedzał dotąd sporadycznie, zawsze w towarzystwie rodziców i brata. Teraz ma tam zamieszkać. Jak to wytrzyma? Próbuje sobie przypomnieć nazwę tego miasta. Ogląda przesuwające się za oknem drzewa i samochody. Na jego oko jadą za szybko i już ma coś powiedzieć, gdy nagle dostrzega cmentarz. Pierwszy raz zadaje sobie pytanie, co się stało z ciałami.

Skórę oblewa mu lodowaty pot.

– Zatrzymaj się.

John zjeżdża na utwardzone pobocze, a Edward popycha drzwiczki, wywiesza się przez próg i wymiotuje na szary żwir. Owsianka i sok pomarańczowy. Wokół gnają samochody. Lacey głaszcze go po plecach. Edward, jak zawsze, gdy nie widzi jej twarzy, wmawia sobie, że to mama.

Nie może przestać wymiotować, jego ciało zwija się, zrzuca balast.

Słyszysz jej głos:

– Denerwowałam się, gdy pielęgniarki powtarzały ci, że wszystko się ułoży. – Głos Lacey jest ostrzejszy niż głos matki; staje się na powrót jego ciotką. – Tobie się wcale nie ułożyło. Słyszysz mnie, Edwardzie? Słuchasz? Nie ułożyło ci się. I nam się nie ułożyło. Nic się nie ułożyło.

Jego ciało zastygło i przez chwilę nie jest pewien, czy gwałtowne odruchy ustały. Gdy już nabiera przekonania, że jest po wszystkim, że jego wnętrze są wyskrobane do czysta i tętnią pustką, prostuje się. Kiwa głową. Z jakiegoś powodu to oświadczenie i ten gest rozluźniają atmosferę i przełamują lody. Ulga jest wyczuwalna. Mają wspólny punkt wyjścia, nawet jeśli jest najgorszy, jaki można sobie wyobrazić.

DWUNASTOLETNI EDWARD, JEGO UKOCHANY STARSZY BRAT, RODZICE I 183 INNYCH PASAŻERÓW WSIADAJĄ DO SAMOLOTU DO LOS ANGELES. WŚRÓD NICH JEST GENIUSZ Z WALL STREET, DZIEWCZYNA PRÓBUJĄCA POGODZIĆ SIĘ Z NIEOCZEKIWANĄ CIĄŻĄ, RANNY WETERAN POWRACAJĄCY Z AFGANISTANU I KOBIETA UCIEKAJĄCA PRZED NADMIERNIE KONTROLUJĄCYM JĄ MĘŻEM. W POŁOWIE DROGI SAMOLOT SIĘ ROZBIJA. TYLKO EDWARD PRZEŻYWA KATASTROFĘ.

JEGO HISTORIA PRZYKUWA UWAGĘ MEDIÓW I SPOŁECZEŃSTWA, ALE ON SAM NIE UMIE SOBIE ZNALEŹĆ MIEJSCA W ŚWIECIE BEZ RODZINY. MA WRAŻENIE, ŻE JAKĄS JEGO CZĄSTKA NA ZAWSZE ZOSTAŁA PONAD CHMURAMI. SERWISY INFORMACYJNE I MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE POTĘGUJĄ CIERPIENIE. ZŁAMANY I PRZERAŻONY EDWARD MUSI ZMAGAĆ SIĘ Z TRAUMĄ I NIESPODZIEWANĄ POPULARNOŚCIĄ. PEWNEGO DNIA JEDNAK DOKONUJE ODKRYCIA, KTÓRE POMOŻE MU ZNALEŹĆ ODPOWIEDZI NA NAJWAŻNIEJSZE PYTANIA: SKĄD CZERPAĆ SIŁĘ, BY WSTAĆ Z ŁÓŻKA, KIEDY STRACIŁO SIĘ DOSŁOWNIE WSZYSTKO? JAK ZNOWU POCZUĆ SIĘ BEZPIECZNIE? CZY ŻYCIE PO KATASTROFIE MOŻE ODZYSKAĆ SENS?

HISTORIA DORASTANIA, WIELOWARSTWOWY PORTRET RODZINY I ZAPIERAJĄCY DECH W PIERSIACH OBRAZ TEGO, JAK ZŁAMANE SERCE NA NOWO UCZY SIĘ KOCHAĆ.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788366 500594

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

granice.pl

w sprzedaży także

